

Na górze myśliwce, na dole Qachaqbar

9 października 2015

1

Już na ławkach, przed wejściem, ktoś rozpływa się w narkotykowym niebie. Na ziemi, zaraz po przekroczeniu furtki, leżą zużyte strzykawki. A trzydzieści metrów dalej rozłożone przez wolontariuszy namioty dla uchodźców.

Podobno około czterystu. Ostatnia fala to sami Afgańczycy, w większości nastolatki i dzieci. Niektóre bez krewnych. Rodzicom starczyło tylko na jeden przemyt.

Żar leje się z nieba, w połowie sierpnia temperatura dochodzi do trzydziestu ośmiu stopni. Wokół namiotów przechadzają się wolontariusze. Zabiorą dzieci na plac zabaw, zorganizują zajęcia plastyczne i gry zespołowe, puszcza bańki mydlane.

Od święta pojawi się w parku policja na kilkanaście minut. Na odcinek z narkomanami zamknie oczy. Przejdzie do obozowiska uchodźców, przespaceruje się w tę i z powrotem, odmaszeruje.



2

Park Pedion Areos, „Pole Aresa”, jest ładny i zadbane, ale Ateńczycy nie przychodzą już tutaj na spacer. Pole greckiego boga zniszczenia i wojny to dziś skład żywności i wody. Za współczesną łaźnię grecką robi fontanna przed wejściem, choć niektórzy kąpią dzieci pod strumieniem z węża ogrodowego. Pod pomnikami bohaterów greckiej rewolucji kilku uchodźców ucina sobie drzemkę. Chłopiec z Afganistanu biega przebrany za Napoleona. Inni grają w piłkę.

Są afgańscy lekarze, przedsiębiorcy, studenci, robotnicy, dziennikarz, żołnierz, prawnik, nauczyciel akademicki. Nie ma wśród nich biedaków. Trzeba mieć kilka tysięcy euro, żeby zapłacić przemytnikowi, Qachaqbarowi, jak nazywają go Afgańczycy, który pomaga imigrantom przedostać się do Europy. Uchodźcy zazwyczaj uciekają z mniejszą częścią pieniędzy. Resztę dopłaci rodzina. Oczywiście, jeśli uchodźca dotrze do następnej bazy – w końcu dla nikogo, kto rozpoczyna drogę, nie jest pewne, czy zakończy ją żywy.

Qachaqbar jest katem i wybawcą. Nie da wody i jedzenia, zwyzywa, spoliczkuje przy wszystkich, doprowadzi do płaczu i kopnie leżącego. Przypominając, że ma zapłacić, inaczej droga do lepszego świata skończy się dla niego w miejscu, w którym stoi. Ale jest tym, który pomoże, gdy zjednoczona Europa zamknie oczy i granice na cztery spusty.

3

– Na górze, na niebie, jest Chinook. Produkowany przez Amerykanów wielozadaniowy, wyposażony w trzy karabiny maszynowe śmigłowiec transportowy. Po jego prawej F-coś tam, może F-16?, lub inny myśliwiec. A na dole jest przemytnik na łodzi obok flagi z czaszką – tłumaczy jeden z pedagogów, który organizuje w parku zajęcia dla dzieci. – Obrazek pokazuje sytuację uchodźców: są zawieszeni między wojną a zarabiającą na niej mafią. Między śmiercią od bomb lub z rąk talibów a śmiercią na morzu lub podczas nielegalnego przekraczania granic.

Rozmawiamy o rysunku ośmioletniego chłopca.



4

Samoloty wojskowe to codzienny widok dla ludzi mieszkających w rejonach konfliktów na Bliskim Wschodzie. Dzieciaki zapamiętują, jak ojcowie opowiadają, co akurat przelatuje nad głową. Afgańczycy więcej wiedzą o posługiwaniu się bronią palną, niż o uprawie roli.

Pytam, jak wyglądało ich życie w ojczyźnie, za czym będą tęsknić, jak pamiętają dzień, w którym postanowili, że muszą się wynieść. Odpowiedź zawsze jednakowa, wypowiedziana zdziwionym głosem wyliczanka kilku słów wyraźnie sygnalizująca, że pytanie było nie na miejscu. – No, wojna jest: bomby, wybuchy, samoloty, śmierć. Jak może wyglądać dzień w Afganistanie?

Zamiast gry w klasy i podchodów strach przed wyjściem z domu. Zamiast ilustrowanej „Encyklopedii samolotów wojskowych” codzienne obserwacje. Dziecięce rymowanki podobne do tych, które pamiętam z własnego dzieciństwa („Na górze róże, na dole fiołki...”, nie przestaje chodzić mi po głowie, kiedy mijam grupki dzieci w wieku przedszkolnym) zastępują doniesienia o kolejnych bombardowaniach.



– Człowiek by pomyślał, że taki obrazek z wojny będzie szary, brutalny, nie wiem... – dzielę się refleksją.

– Wolontariuszom zależy, aby dzieci miały chociaż kolorowe kredki.



5

Żeby ze stolicy Afganistanu dotrzeć do Pedion Areos, trzeba pokonać ponad pięć i pół tysiąca kilometrów. Dziesięć godzin samolotem, ale prawie tysiąc piechotą. To prawie dwie szerokości Europy. Dwa razy od Lizbony do Warszawy. Przez wielkie państwa, Iran i Turcję, pustynie, morze, wysokie góry.

Do Iranu można dostać się na dwa sposoby: bezpiecznie,

legalnie, z wizą. Lub nielegalnie, pod siatką. Ryzykując, przyłapanie przez żołnierza irańskiej Gwardii Rewolucyjnej, Sepāh-e Pāsdārān-e, który powie: „Masz 3 minuty na ucieczkę, potem zaczynam strzelać”. Osoby, które nie biegają wystarczająco szybko, giną na tym odcinku.

Łatwiejsza w przejściu jest granica irańsko-turecka, lecz potem zostaje kilkudniowa droga pod górę, czasem bez jedzenia i picia, jeśli zapasy się skończyły lub były zbyt ciężkie, by ciągnąć je na szczyt. Nie każdy daje radę.

Jak jedenastoletni syn Gofura. Nie miał siły iść kilka dni nieustannie pod górę, sapał i narzekał, nie było już wody dla wszystkich. Ojciec odwrócił się i poszedł sam. Zostawił go w górach po stronie tureckiej.

Gdy dotarli do wybrzeży, Gofur i 20 innych osób w lichych pontonach popłynęli w kierunku greckiej wyspy Lesbos. W tym samym czasie setki innych Afgańczyków, Syryjczyków, Irakijczyków cumowały na pierwszych napotkanych wyspach należących do Unii Europejskiej: Leros, Kos, Chios czy Samos. W prowizorycznym ośrodku dla uchodźców czekali na dokument poświadczający miesięczne pozwolenie na pobyt.



Na przeludnionych już wyspach będą przeszkadzać swoją obecnością europejskim turystom, którzy „lubią jeść, opalać się i odpoczywać”. I którzy będą udzielać wywiadów o tym, że

„imigranci” (słowo „uchodźca” nie przejdzie im przez gardło) zamienili ich wakacje w koszmar.

Potem uchodźcy skontaktują się z Qachaqbarem w sprawie dalszych kroków.

Gdy szok minie, a głos instynktu przetrwania umilknie, Gofur będzie płakał w ośrodku przez cztery noce z rzędu. Będzie ścisnął swoją koszulę między nogami i wył z bólu. Powtarzając, że nie rozumie, dlaczego to zrobił. Dlaczego zostawił syna.

6

Grupa greckich anarchistów umawia się w południe. Pheobus, 19-letni chłopak z bródką, gra na pianinie, aby zarobić na rachunki, mieszka sam otoczony sporą kolekcją książek. Reszta studiuje na uniwersytecie lub doksztalcają się samodzielnie. Wszyscy mają ciemne oczy i ciemne włosy, śmiejemy się, że wpisują się w polski stereotyp Greka. Jest wśród nich wysoka studentka filologii angielskiej. Między pracą w kawiarniach, oczywiście na umowach śmieciowych. Po robocie angażują się w różne struktury alternatywne wobec oficjalnej gospodarki: pomagają w kuchniach społecznych, udzielają korepetycji dzieciom, wymieniają się rzeczami za pośrednictwem różnych portali, tak, żeby jak najmniej pieniędzy było potrzebne do życia.

Idą na targ. Dyskutują, jak prosić o warzywa dla uchodźców i jak w uprzejmy sposób sformułować zdania po grecku, aby przekonać do siebie sprzedawców. Nie ujawniają się ze swoimi poglądami politycznymi; chcą, aby pomoc nie miała żadnego logo. Z takich akcji pochodzą surowce do potraw, które wolontariusze przynoszą do parku.

Jeśli już ktoś coś dawał – to nie mniej, niż pełną siatkę. Na około 50 stoisk, które obeszli, siedmiu sprzedawców odmówiło. Jedna pani oddała cały towar ze swojego stoiska. Niektórzy wybierali warzywa i owoce, które lada dzień się zepsują, takie jak miękkie już pomidory. Jeden sympatyczny sprzedawca

podszedł do sprawy profesjonalnie: na pięć minut ich zatrzymał, żeby wymacać wszystkie swoje pomarańcze i wybrać te najlepsze.

W ogarniętej kryzysem ekonomicznym Grecji czasów polityki „zaciskania pasa”, gdy oszczędzać już nie ma na czym, nikogo nie dziwi pytanie o jedzenie. Cała Grecja pokryta jest siecią oddolnie zorganizowanych kuchni społecznych, w których wolontariusze zbierają jedzenie, gotują i rozdają potrzebującym. Organizowanie się, pomaganie i korzystanie z pomocy to codzienne doświadczenie większości współczesnych Greków.

– Pozwólcie im zginąć! – krzyczy zgarbiona i ubrana cała na czarno staruszka, która właśnie wkładała do swojego wózek zakupy warzywa. – Grecy też są głodni dodaje rozwścieczonym tonem.

– Ale my zbieramy warzywa na posiłki w parku, Grecy też czasami przychodzą, nie pytamy o narodowość rozdając jedzenie – tłumaczy jej jedna z anarchistek.

– I tak powinni umrzeć – usłyszą w odpowiedzi.

I pójdą dalej. Mają już tyle produktów, że więcej się nie zmieści do wozu.



Warzywa i owoce pojadą do Steki, centrum zarządzania pomocą uchodźcom w dzielnicy Exargia, gdzie w kuchni społecznej wolontariusze przygotowują posiłki. Tutaj jest też tablica, na której zapisuje się, czego brakuje w parku, a wolontariusze robią jej zdjęcie i wrzucają na Facebooka. W Steki przechowywane są rzeczy, które przynoszą ludzie, którzy zareagowali na zdjęcie: jedzenie, wodę, ciuchy, lekarstwa.

Jeden z tych, którzy „powinni umrzeć”, to Ata Aliazada, średniego wzrostu nieco krępy mężczyzna o nerwowym uśmiechu. Dotarł do parku po 40 dniach drogi. Był tłumaczem wojska afgańskiego. Rozmawiamy przy górze ciuchów, które przynieśli dziś Grecy.

Plan na przyszłość? Przeżyć.

Miał pieniądze, samochód, duży dom. Pokazuje mi na ekranie komórki zdjęcia posiadłości, braci i sióstr, swoje w wojskowym mundurze.

Wybuch nastąpił tuż obok niego, ledwo przeżył i wtedy stwierdził, że ma dosyć. Skontaktował się z kimś z rodziny, żeby mu przywiózł pieniądze i ze znajomym, który zna przemytnika.

– Pytasz mnie, co się dzieje w Afganistanie, ale ja sam tego nie rozumiem. Kiedyś talibowie walczyli przeciwko rządowi i Stanom Zjednoczonym, obecnie talibowie i rząd to jedno i to samo, chociaż niby ci pierwsi mają zwalczać tych drugich. Działania zbrojne finansowane są przez wrogich sąsiadów: Iran i Pakistan. Amerykanie szkolą nasze wojska i dostarczają broń, ich gospodarka oparta jest na wojnie, więc tylko korzystają na tym, co się u nas dzieje. Co mam na myśli? Eksploatują nasze surowce. Media o tym nie mówią. Krytyczne gazety w Afganistanie? Żartujesz?

Od roku, od początku kadencji nowego prezydenta Aszrafa

Ghaniego, Afgańczycy boją się wychodzić z domu. Poprzedni, Hamid Karzaj, chciał pracować dla wszystkich: Uzbeków, Turkmenów, Tadżyków, Hazarów i Pasztunów. Tak mówią Afgańczycy z parku. Wraz z nowym prezydentem wrócił Afganistan plemienny, etnicznie podzielony.

8

Pięć i pół tysiąca kilometrów, żeby dotrzeć do parku, pokonała Narges Hassanzadah z mamą. Pochodzą z Kabulu. Narges ma 18 lat, ciemną chustę na głowie i kontrastującą z jej czarnymi oczami różową szminkę na ustach. Siada bokiem, elegancko łącząc nogi.

Ma dwie siostry, 24 i 21 lat. Obie mężatki. Tylko dla niej nie zdążyli znaleźć mężczyzny. Śmieje się, że udało jej się uciec przed przeznaczeniem.

I przed życiem kobiety w Afganistanie. Do diabła ze wstawaniem o świcie, pieczeniem chleba w przydomowej piekarni, sprzątaniem domu i praniem. Koniec zakazu studiowania. Koniec skierowanych do mężczyzn próśb o pozwolenie na wyjście z domu.

Narges i Mohammadowi, który tłumaczy naszą rozmowę, zrobię zdjęcie telefonem komórkowym, gdy będziemy się żegnać. Ona każe mi je skasować i poprosi o takie, na którym będzie sama. Zapozuje wtedy ze szczerym uśmiechem.

Wkrótce mi wyjaśni: zdjęcie kobiety z innym mężczyzną, bez ślubu, mogło być dla niej śmiertelnym zagrożeniem. Strach, że ktoś je zobaczy w mediach społecznościowych, był silniejszy od tego, co sama na ten temat myśli. Fotografia w Afganistanie to narzędzie niebezpieczne. Jeśli jest na niej uwieczniona kobieta, ktoś wywoła zdjęcie i zacznie rozdawać, ona nie będzie mogła wyjść za mąż. Rozdano jej wizerunek, od teraz ma „złe imię”.

Narges ma marzenie: chce zostać aktorką. Potrzebuje rozgłosu. Jeśli nie pojawi się na ekranie, nikt nie będzie jej słuchał. A chce mówić o rzeczach ważnych, o tym, co dzieje się w

Afganistanie. O sytuacji kobiet.

A tak najbardziej w świecie chce pomóc mamie, która ciężko pracowała po śmierci ojca. Ma cukrzycę. Narges marzy, żeby mogła pójść do szpitala.

9

– Rozejrzyj się po parku, czy ja jestem podobny do Narges? Powiedziałaabyś, że jesteśmy z jednego kraju? – pyta Mohammad. W Atenach żyje od 10 lat, pracuje dla Wspólnoty Afgańskiej w Atenach. Uciekł po tym, jak stracił rodziców, kiedy z talibami walczyły jeszcze wojska amerykańskie.

Cztery najliczniejsze w Afganistanie grupy etniczne – Pasztunowie, Tadźycy, Uzbegy i Hazarowie – skupiają się w innych regionach. Mają swoje języki i odrębne lokalne rządy. Nietrudno jest rozpoznać „obcego”. Twarze podobne do europejskich o nieco ciemniejszej karnacji jak u Narges – Tadźycy. Niski wzrost i mongolskie rysy jak Mohammeda – Hazarowie. Jedni drugim są wrogami.

Dlatego uchodźcy docierają do ziemi europejskiej i płaczą ze szczęścia, bo czują ulgę. Myślą, że przemoc i segregację zostawili za sobą.

Mohammad przychodzi do parku ich ostrzec.

– Poczekajcie. Nie idźcie dalej w pośpiechu. Grecy wykończeni zagranicznymi długami, praktycznie pozbawieni publicznej służby zdrowia, być może nie pomogą wam tak jak Niemcy. Nie dadzą pracy.

Ale do Niemiec jeszcze daleka droga.

Po drodze Macedonia, Serbia i Węgry.

– Porywają i sprzedają ludzi na organy, dzieci do adopcji. Pobią was służby graniczne i policja – mówi Mohammad, który współpracuje również z organizacją Act Up Drass Helas

przeciwko handlowi ludźmi. Uchodźcy nie wiedzą jak przywita ich cywilizowana Europa.

Grecy wyuczeni są solidarności – tłumaczy. – Nawet jeśli sami nie mają, to się podzielą. A lewicowy rząd, choć nie pomaga, nie pozwoli uchodźcom zrobić krzywdy. Nie zamknie ich w ośrodkach o więziennych warunkach. Nie naśle policji, która spali im rzeczy i dokumenty pod parlamentem, jak Syryjczykom za poprzednich rządów.

Kilka dni po tej rozmowie Mohammad wyruszy w podróż po Europie. Jako aktywista będzie działał na rzecz praw ludzi uciekających przed wojną i terrorem.

Kryzys migracyjny to tragedia uchodźców, nie Europejczyków – będzie argumentował. – Dla Zachodu to jest okazja, aby przygotować nową generację, która pokonczy europejskie uniwersytety, wróci i stworzy zdrowy kraj, który nie zagraża całemu światu jak rosnące w siłę Państwo Islamskie. Ci młodzi ludzie zasługują na drugą szansę.

10

Aliakbar Jawahari do Aten dotarł po 45 dniach, a koledzy, z którymi przebył drogę, od trzech dni są już u celu. Mieli 3000 euro na trasę Grecja-Szwecja, więc poczekali na kolegę, który utknął w parku, bo brakuje mu 600 euro.

Był upały, jak to zwykle w Afganistanie, kiedy zadzwonili talibowie i powiedzieli, że albo przestanie uczyć, albo podetną mu gardło. Potem jeszcze wysłali groźby potwierdzeniem na piśmie.

24-letni Aliakbar uczył informatyki. Jest ateistą. Takich jak on, od technologii i angielskiego, szerzenia zgniłej kultury Zachodu, talibowie nie lubią najbardziej.

Rodzinie nic nie powiedział. Zebrał się z innymi chłopakami, którzy postanowili wyruszyć w drogę i wymknął się w nocy.

Wziął rodzinne oszczędności.

Nie było ataków bombowych w jego prowincji Dajkondii, ale talibowie nie odpuścili żadnemu lokalnemu liderowi, a za takich mieli nauczycieli. Najpierw ostrzegali telefonicznie. Potem śledzili i szkalowali.

Będzie tęsknił za krajem. Bardzo lubił uczyć dzieci. Uważa, że nie ma nic ważniejszego, niż bliscy. I nikt nie chciałby jechać do Europy, żeby być z dala od nich.

Wróci, jeśli kiedyś sytuacja w Afganistanie się ustabilizuje.

Boi się zadzwonić do rodziny.

11

Część rodziny Khaleda Babori zginęła w eksplozji. – Zginą wszyscy, prędzej czy później. Nie może być inaczej przy czterech eksplozjach na prowincję dziennie – mówi ubrany od sześciu dni w niebieską koszulkę i niebieskie krótkie spodenki szesnastolatek. W parku zabrakło ubrań w rozmiarze odpowiednim dla szczupłych chłopaków.

Okropnie bał się wyjechać. Oglądał w wiadomościach informacje o kolejnych uchodźcach, którzy utonęli w drodze. Bił się z myślami aż w końcu w ramadan zdecydował. Przeprawa z Afganistanu do Aten zajęła miesiąc, podróżował w kilkusobowej grupie. Po drodze pytali lokalnych mieszkańców: „w którą stronę do Europy?”. Nie mieli żadnej mapy.

Przez granicę między Iranem a Turcją przemycili ich w samochodzie Kurdowie. Potem spali na skałach, cztery dni nic nie jedli.

Wieczorem, zanim wypłynęli w stronę greckich wysp, przeszedł się na wzgórze. Popatrzył w dal, w morze. Zobaczył jakąś łódkę lub ponton. Wróciły obrazy, które oglądał wcześniej w telewizji. Ktoś na dużej łodzi z mocnym silnikiem podpłynął i krążył wokół jednego pontonu tak długo, aż poszedł na dno.

Na tyle daleko od lądu, żeby ludzie nie mogli się uratować i na tyle blisko, żeby Khaled mógł obserwować to z góry. W ciągu ostatniego tygodnia utonęło 70 osób. Mówi, że być może zatapiający to irańscy terroryści, ale skąd on może to wiedzieć. Nie ma już gdzie wrócić. Pozostało modlić się do Allaha. I wierzyć. Przecież na pewno nie zatapiają wszystkich pontonów.

12

Shah Nazari ma ciemne włosy i lekki zarost. Jest Tadżykiem, rozpoznaję bez pytania po twarzach. W obozie na wyspie Lesbos skłamał, że ma 17 lat. O dwa mniej niż w rzeczywistości, „bo z Niemiec nie deportują nieletnich”. Inny Afgańczyk skłamał, że jest Syryjczykiem: „bo ich Niemcy uznają za uchodźców, a nas nie”.

Nie ma tak ciemnej skóry jak większość Afgańczyków, mógłby udawać Włocha. Przez chwilę będzie rozważał, czy nie kupić fałszywego dowodu. Spojrzy na mój, obróci we wszystkie strony i odda śmiejąc się ironicznie, jak bardzo życie zależy od obywatelstwa. – Masz ten plastik, jesteś wielką szczęściarą. Tylko go nie zgub – rzuci na zakończenie w żartach. – Bo do Polski wrócisz z nami przez Macedonię.

Był duszą towarzystwa i troskliwym bratem rozśmieszającym ósemkę rodzeństwa. Niełatwo było je zostawić. Ale plan jest taki – najstarszy syn dociera do Europy, ustatkuje się i sprowadzi rodzinę. Choć nie mają nawet na przemyt, bo zbankrutowali po tym, jak wybuch zniszczył ich sklep z hidżabami.

Pomogła przyjaciółka z Facebooka. Przyjęła jedno z wielu zaproszeń, które wysyłał, żeby porozmawiać z ludźmi o czymś innym, niż wojna; wypytywał o kulturę, zwyczaje, codzienne życie w ich kraju. Tak się poznali.

Daniela jest Rumunką mieszkającą w Belgii. Mąż ją zdradził i chciała rozwodu, zwierzała się Shahowi godzinami na czacie.

Potem zaczęła dzwonić. On radził pamiętać o dziecku. Dać temu jeszcze szansę. Wróciła do męża i są szczęśliwi, a Daniela nie zapomniała o przyjacielu. Łącznie wysłała mu już 900 dolarów.

Angielskiego nauczył się zaledwie przez rok, na kursie, na który ciężko pracował jego ojciec. Liceum skończył z najlepszymi wynikami. Odebrał dyplom, spojrzął na niego, usiadł i wybuchnął płaczem dziecka. Zacisnął ręce ze złości, bo pomyślał, że może wyrzucić go do kosza. W kraju terroru talibów to zwykła kartka, która do niczego nie służy.

Zamknął książki, zatrudnił się w innym sklepie z hidżabami za 7 euro dziennie i spłacał powoli długi ojca. Marzy o tym, żeby skończyć w Niemczech studia i zostać lekarzem okulistą. Mówi, że to dlatego, że człowiek jest w stanie żyć pozbawiony wielu rzeczy, nawet ręki i nogi, ale jak się nie widzi tego, co się wokół dzieje, to tak jakby nie żyć.

13

Gdy zamyka oczy, widzi pożar i ciała. Czasem wahał się, czy wyruszyć w drogę, ale wtedy przywoływał w głowie obraz taliba. – Dzieci nowego prezydenta są w Ameryce. Nie boi się o ich życie, jak nasi rodzice. Nie zna tego strachu – powtarza Shah kilka razy podczas naszej rozmowy. Prosi, żebym zanotowała.

Rodzice nie pozwolili mu przekroczyć granicy afgańsko-irańskiej nielegalnie, czekał dwa tygodnie na wizę. W Iranie przyjął go kuzyn, potem Shah przebił się do Turcji, zatrzymał się u przyjaciela i zadzwonił do ojca. – Sprzedaj dom, potrzebuję pieniędzy. Przyszły, gdy był w Stambule. Rodzice, czterech braci i cztery siostry mieszkają teraz w wynajmowanych czterech pokojach.

Pozostała droga ku idyllicznym greckim wyspom. Łódź miała 9 metrów. Zmieściła 40 osób. Usłyszeli odgłosy podobne do kruszonego lodu. Łódka trzęsła się cała, dzieci płakały, wszyscy zaczęli się modlić. Przetrwali. Rozbili się pod koniec drogi, 40 osób wylądowało w wodzie, ale byli już blisko,

ojcowie i młodzi powyciągali małe dzieci na brzeg.

Do ośrodka dla uchodźców szli trzy godziny. Próbowali pojechać autostopem, ale bez skutku. Jedna osoba zwolniła, żeby wskazać drogę do najbliższego posterunku policji. 4 dni spędzili w obozie. Z tego dwa na zewnątrz, bo nie było już miejsca. Nie było nawet elektryczności. Do jedzenia dawali makaron z chlebem.

Wrócili na wodę, pozostało przepłynąć Morze Egejskie i dotrzeć do Grecji lądowej.

Obok nich płynęły 3 łodzie. Były fale, zaczął wiać wiatr, jedna wywróciła się bokiem. – Nie mieliśmy nawet jednego miejsca. Nie mogliśmy nic zrobić. Musieliśmy zamknąć oczy i przepłynąć obok, kiedy oni tonęli.

Niektóre imiona zostały wymyślone przez bohaterów tekstu. Mafia ściga tych, którzy wyjawiają szczegóły dotyczące jej działania.

Uchodźcy z parku Pedion Areos zostali przeniesieni już do przygotowanego przez rząd grecki otwartego „centrum gościnnego” w Eleonas. W innych miastach Europy (np. w Belgradzie) uchodźcy wciąż mieszkają w tragicznych warunkach w parkach.

Autorstwo: Angelina Kussy

Zdjęcia: David Castro Caso i Angelina Kussy

Źródło: NowyObywatel.pl

O AUTORCE

Angelina Kussy (ur. 1991) – dziennikarka. Recenzuje literaturę faktu i pisze artykuły o ekonomii społecznej. Magistrantka w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, w trakcie studiów prowadziła badania w Barcelonie, a obecnie w Marinaledzie, komunistycznej wiosce na południu Hiszpanii.